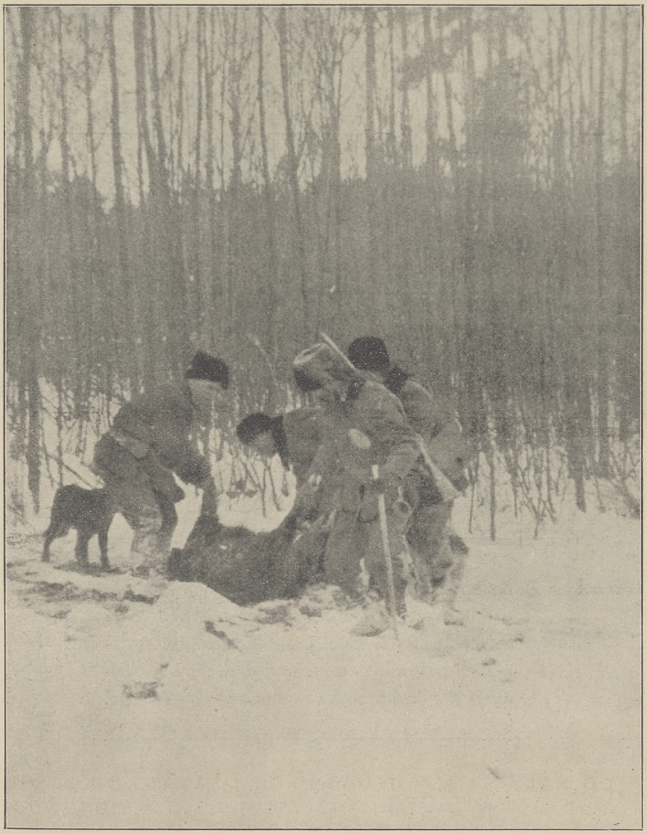
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Polowanie z psami na dzika. Chinocze. Fot. Wacław Podborski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Nr. 5 (660) 30 STYCZNIA 1932 R.

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.



Ścieżka dzicza. Fot. Stanisław Steliński.

PAPIER I KNIEJA.

Artykuł 49-ty prawa łowieckiego wyznacza czas ochronny dla ptaków krukowatych i drapieżnych — „z wyjątkiem jastrzębi - gołębiarzy, krogulców, wron i srok" — na okres od dnia 1 lutego do dnia 15 sierpnia. Z tego przepisu wynika zupełnie jasno, że każdy, kto w powyższym okresie zabije kruka, gawrona, kawkę, kanię, myszołowa, błotniaka, kobuza, rybołowa, orła i t. p., stanie się winnym „polowania w czasie ochronnym" i może ulec karze z art. 77 p. 3 grzywny do 500 zł. i aresztu do 6 tygodni. W dalszym wyniku — winny tego rodzaju wykroczenia łowieckiego musi być — w razie prawomocnego ukarania — pozbawiony na lat 5 karty łowieckiej...

Tak głosi prawo. A życie?...

Nie trzeba być ani t. zw. ideowym myśliwym, który zna się na subtelnościach, leżących na pograniczu etyki i prawa, ani łowcą - przyrodnikiem, który rozważa zawiłe problematy celowości tych lub innych terminów ochronnych, by nie dostrzec pewnej, wprost rzucającej się w oczy niewspółmierności wspomnianych postanowień w porównaniu z innemi przepisami naszego prawa łowieckiego. Myśliwy, polujący w czasie ochronnym na myszołowy, kanie, błotniaki, sowy, puhacze, słowem na ptaki bądź co bądź drapieżne, jest traktowany w prawie łowieckiem narówni z myśliwym, zabijającym w czasie ochronnym już nie zająca, kuropatwę lub sarnę, lecz nawet — kurę głuszca, łanię i łosia-byka! (tak! — gdyż surowa sankcja z art. 78 dotyczy tylko samicy-łosia, zaś polowanie na łosie-byki jest jedynie wykroczeniem „polowania w czasie ochronnym"...). Taką „generalizację" naszego prawa uważam za poważną i wręcz szkodliwą niekonsekwencję, która nietylko przez długi jeszcze szereg lat nie pomieści się w głowach jakichś conajmniej 80% ogółu naszych myśliwych, lecz która nawet dla t. zw. elity naszego łowiectwa będzie stanowiła niewyczerpane źródło nieporozumień, pomyłek, przykrości i irytacji. Dam jeden przykład autentyczny a wielce pouczający. Przed paru laty polowałem na kaczki w końcu lipca w towarzystwie jednego z pierwszych myśliwych w Polsce, — człowieka, który położył niemałe zasługi zarówno dla łowiectwa, jak i dla nauk przyrodniczych, z łowiectwem związanych. Szliśmy po grobli, rozdzielającej dwa rozległe stawy rybne. W pewnej chwili na daleki strzał śrutowy przed nami zerwał się z szuwarów błotniak. Towarzysz mój posłał mu strzał rzutowy, który jednak chybił. Zauważyłem tonem niewinnym (nie bez pewnego jednak cienia złośliwości)), że błotniak nie jest ani jastrzębiem-gołębiarzem, ani krogulcem, wroną lub sroką i że przeto strzał, dany do tego ptaka w lipcu, jest przestępstwem, które prócz „kozy" i dotkliwej grzywny może spowodować utratę karty łowieckiej... „Winowajca" przygryzł wąsa i powiedział krótko: „A

prawda, psiakrew"... A po chwili zaczął tonem poirytowanym mówić o tym i innych brakach naszej ustawy łowieckiej.

Niewspółmierność kar łowieckich za ubicie drapieżników w porównaniu z innemi karami łowieckiemi nie jest jedynym „felerem" końcowego ustępu art. 49 naszego prawa. Dochodzi tu jeszcze ważny moment natury praktycznej. Myśliwi wiedzą dobrze, że „polowanie" na ptaki drapieżne nie jest z reguły jakąś zgóry obmyślaną imprezą, lecz, że zasadza się najczęściej na prostym przypadku. Z wyjątkiem może tylko polowania z puhaczem — myśliwy dochodzi do strzału do jastrzębia bądź wypadkowo na polowaniu na innego zwierza, bądź w czasie włóczęgi lustracyjnej po rewirze w różnych porach roku, bądź w innych okolicznościach przypadkowych. A w okolicznościach takich szybkie określenie gatunkowe danego ptaka drapieżnego jest nawet dla rutynowanego myśliwego zadaniem niełatwem! Zaglądam do świetnej pracy wielce szanownego p. prof. Janusza Domaniewskiego („Przegląd naszych ptaków drapieżnych", „Łowiec Polski" z r. 1929 Nr. 2, str. 25) i czytam: „rozróżnienie ptaków drapieżnych w locie nie jest tak trudnem, jakby się to początkującemu myśliwemu zdawało"... Wkrótce jednak Szanowny Autor pisze: „Jasną jest rzeczą, że ten, kto chce rozpoznawać ptaki drapieżne w locie, musi je przedtem dokładnie poznać. *Musi znać wszystkie nasze krajowe gatunki, orjentować się w ich systematyce, życiu i obyczajach.* Trzeba mieć do tego zamiłowanie przyrodnicze i tę specjalną zdolność do wczuwania się w przyrodę, która cechuje prawdziwego myśliwego... Zdobywanie zwierzyny nie jest jeszcze polowaniem"... Słowa powyższe są prawdą, po trzykroć świętą prawdą! Myśliwy, który nie ma w sobie żyłki do przyrodoznawstwa, nie wart jest miana myśliwego. Ale — spytajmy z ręką na sercu, jaki procent ogółu naszych myśliwych (biorąc, naturalnie, zgrubsza) „zna wszystkie gatunki naszych krajowych ptaków drapieżnych, orjentuje się w ich systematyce, życiu i obyczajach"?... Mam smutną lecz niezłomną pewność, że procent ten będzie bardzo, bardzo nikły. Dla olbrzymiej większości panów (i pań), wykupujących karty łowieckie, każdy gatunek jastrzębia będzie albo — (w Polsce centralnej i na zachodzie) poprostu „jastrzębiem", albo (na wschodzie) — „korszunem"... *). Myśliwy — orjentujący się w systematyce, życiu i obyczajach już nie tylko ptaków drapieżnych, lecz wogóle — zwierzyny, jest — jako zjawisko pospolite — narazie tylko ideałem, wykwitem kultury łowieckiej, będącej u nas dotąd w powijakach. Do ideału tego winniśmy coprawda dążyć „całą parą" naszych wysiłków propagandowych, lecz nie możemy zapominać, iż prawo (stanowiące w dziedzinie łowiectwa bardziej może, niż w innych dziedzinach jeno minimum etyki) pisane jest nie dla ideałów przyszłości, lecz dla realnych stosunków życiowych. Będąc wprawdzie prawnikiem z zawodu (choć może właśnie dla tego...) uważam, że prawo jest, a przynajmniej powinno być wytworem życia, nie zaś odwrotnie...

Rozważając problemat prawodawczej ochrony drapieżników należy jeszcze jeden moment podkreślić, mianowicie — psychologiczny. Moment ten bywa, niestety, zbyt często lekceważony przez współczesnych naszych prawodawców w różnych dziedzinach prawa — nietylko w prawie łowieckiem. Ludzie ci, owiani najlepszą chęcią uszczęśliwienia społeczeństwa, zapominają na każdym niemal kroku, że społeczeństwo nie jest mechanizmem, złożonych z bezdusznych części i kółek, lecz gromadą żywych ludzi — gromadą, w której nurtują skomplikowane, niezbadane dotąd należycie przez naukę, prądy, nastroje i inne „stany" psychologiczne. Nie będę nudził czytelników rozprawą prawniczo - psychologiczną na temat np. czy prawo, nie będące odbiciem zbiorowej psyche społecznej można wogóle nazwać prawem? — lecz przytoczę jedno tylko „psychologiczne" oświetlenie interesującej nas kwestji ochrony ptaków drapieżnych. Czy sędzia lub starosta, który skazuje na śmiesznie niską grzywnę, a nawet poprostu uniewinnia raubszyca, mordującego zawodowo w czasie ochronnym zające i kuropatwy jest zjawiskiem tak dalece rzadkiem? Czy działacze łowieccy mało sobie krwi napsują, by takiego sędziego lub starostę przekonać, że łowiectwo nie jest godnem politowania manjactwem, lecz poważną gałęzią gospodarczą, przed którą roztaczają się w Polsce nieskończone możliwości? Czy takiego sędziego lub starostę (choćby mieli oni nawet pewne zrozumienie dla łowiectwa) nie „zaskoczy" fakt, że zabójca gawrona lub myszołowa ma ulec takiej zasadniczo karze, co morderca łosia?... A gdy przy okazji jakiś szanowny skądinąd myśliwy powie takiemu sędziemu, lub staroście na ucho, że nawet wśród myśliwych toczą się przewlekłe spory „o rzekomej użyteczności myszołowa", to — czy ów sędzia lub starosta nie pomyśli mimowoli, iż w prawie łowieckiem coś nie wszystko jest w zupełnym porządku?

Poruszona przezemnie kwestja nie jest tylko zwykłą i zresztą dość częstą kolizją prawa pisanego z życiem realnem, t. j. w danym wypadku „papieru z knieją". Kwestja ta ma, niestety, nieco drażliwy posmak kolizji łowiectwa z ochroną przyrody. Podkreślam, że tylko — posmak. Nieraz głosiłem zdanie i dziś powtórzę je z naciskiem, że ochrona przyrody i łowiectwo są synonimami i że nie może być nawet mowy o ideowym konflikcie pomiędzy temi dziedzinami. I myśliwy i pionier ochrony przyrody mają jeden wspólny cel na widoku: uchronienie od zagłady, rozkwit i rozmnożę zwierzęcych i roślinnych (przedewszystkiem) okazów t. zw. „dzikiej" natury. Ale już w artykule moim „Granice etyki myśliwskiej" („Łowiec Polski" z r. 1931 Nr. 24 i 26) zaznaczyłem, że niektóre hasła i metody pracy czynników ochrony przyrody są szkodliwe zarówno dla samej idei ochrony przyrody, jak i dla łowiectwa, i nawoływałem, by „ochrona przyrody pozostawiła łowiectwu to, co łowieckie"... Nie będę dziś streszczał tamtych moich wywodów, bo ci z Sz. Czytelników, którzy się tą kwestją zainteresują, mają możność zajrzeć łaskawie do cytowanego artykułu... Chcę tylko raz jeszcze wyraźnie zaznaczyć, że niema wprawdzie kolizji pomiędzy celem łowiectwa a celem ochrony przyrody, lecz, że niestety istnieje pewna rozbieżność w metodach pracy pionierów idei ochrony przyrody i — myśliwych. Nie ośmieliłem się wtrącać się do przewlekłej polemiki na temat, czy się godzi strzelać do jelenia w porze godo-

*) białoruska nazwa jastrzębia.

wej? — bo wiadomości moje o życiu i obyczajach jelenia są czysto teoretyczne. Natomiast wyznam otwarcie, że poprostu skóra mi cierpła z hamowanej pasji, gdy niektórzy przeciwnicy odstrzału zwierząt w porze godowej, napomykali również o głuszcach. Myśliwi wiedzą dobrze, że zwierzostan głuszców na ziemiach wschodnich podwoił się, a może nawet potroił w porównaniu do stanu przedwojennego. Dlaczego? Dla dwóch prostych, rzucających się z całą oczywistością w oczy przyczyn. Primo — dlatego, że prawodawca rosyjski pozwalał na niszczycielskie, a niesympatyczne zawsze dla racjonalnego myśliwego polowanie na młode głuszce z wyżłem, — błąd, którego nie powtórzył prawodawca polski, ograniczając do dwóch miesięcy *właśnie w porze godowej* i wyłącznie na koguty. Secundo — bo głuszec, który na tychże ziemiach wschodnich przed wojną stanowił gratkę tylko dla nielicznych myśliwych amatorów, dziś, dzięki propagandzie szerzonej przedewszystkiem przez entuzjazm współczesnej beletrystyki łowieckiej, stał się przedmiotem powszechnego niemal zainteresowania... Mówiąc „z gospodarska po kupiecku" głuszec stał się modny i — „pokupny"... Popyt myśliwski na głuszca wywołał zwiększoną podaż, dokonywaną, rzecz naturalna, nie przez wszechobojętną wobec egoizmów ludzkich naturę, lecz przez samych myśliwych, którzy ku chwale i rozmnoży tego „królewskiego ptaka" zaczęli znakomicie dyskontować egoizmy łowieckie — własne i współwyznawców Hubertowego kultu. Historja powojenna naszego głuszca jest wspaniałem zwycięstwem tezy: jeżeli chcemy *rozmnożyć* dany gatunek zwierzyny, nie zaś roztkliwiać się sentymentalnie nad bezwzględną ochroną każdego egzemplarza tego gatunku, to powinniśmy troskę o tę zwierzynę pozostawić tym, którzy umiłowanie przyrody łączą ze zdrowym, po ludzku rozumianym — instynktem egoistycznym, to znaczy — myśliwym. Zwierzynie jest najprawdopodobniej zgoła obojętne, czy ginie w porze godowej, czy w jakiekolwiek innej, co dowcipnie podkreślił jeden z uczestników omawianej polemiki. Groza przed strzałem do ryczącego jelenia lub tokującego głuszca, a tolerancja strzału do tychże zwierząt w innych okolicznościach jest, zdaniem mojem, antropomorficznym sentymentalizmem, nieznajdującym trwałego oparcia ani w realnem życiu kniei, ani w przyrodoznawstwie, ani w kanonach etyki łowieckiej. „Oddajcie łowiectwu to, co łowieckie!" — takim był i pozostanie końcowy apel mych rozważań nad szkodliwą rozbieżnością metod pracy myśliwych z jednej, a pionierów ochrony przyrody z drugiej strony, apel — pod adresem tych drugich.

Pozwoliłem sobie zrobić powyższą dygresję, odbiegającą od tematu „ochrony ptaków drapieżnych", by zaznaczyć, że prawo łowieckie, regulując dziedzinę nader blisko spokrewnioną z dziedziną ochrony przyrody, musi nosić i nosi odbicie dążeń nie tylko myśliwych... Zwłaszcza, że nasze prawo łowieckie było tworzone i obowiązuje po dziś dzień w okresie, gdy ustawa o ochronie przyrody była i jest narazie tylko projektem... To też niejeden z przepisów prawa łowieckiego znalazł się w tem prawie naskutek tych lub innych zabiegów (a może tylko wpływów) czynników ochrony przyrody. Nie upatruję w tem nic złego, gdyż, jak się rzekło, i łowiectwo i ochrona przyrody są w swych celach końcowych synonimami, gdyż — dalej — trudno jest przeprowadzić wyraźną granicę między zwierzętami łownemi a zwierzętami, stanowiącemi jedynie objekt ochrony przyrody, gdyż — wreszcie — i w dziedzinie łowiectwa i w dziedzinie ochrony przyrody zwycięży (wierzę w to niezłomnie) metoda skutecznych, realnych zabiegów nad metodą sentymentalnych nawoływań. Chodzi o to, by te realne metody najrychlej zwyciężyły. Bo jeśli my, myśliwi, ustąpimy z pola szlachetnej „walki o metodę" nie przekonawszy „przeciwników", szereg cennych gatunków zierzyny łownej podzieli los żubra...

Co ma wspólnego poruszona kwestja kolizji metod myśliwskich i metod ochrony przyrody z kwestją ochrony ptaków drapieżnych? — zapyta z niecierpliwością niejeden czytelnik. Ma — i nawet dużo. Pod „metodą myśliwską" rozumiem zabiegi myśliwego-hodowcy, pracującego w kniei i dla kniei. Pod „metodą ochrony przyrody" — *taką, jaką dziś u nas obserwujemy* — rozumiem pracę nad biurkiem w imię apriorystycznych, nieskontrolowanych przez doświadczenie zasad i ideałów. Myśliwy pracuje bądź w kniei, bądź w bezpośrednim z nią kontakcie. Pionier ochrony przyrody tworzy (narazie) piękne zasady papierowe, do których dopiero później chce nagiąć żywych ludzi i żywą knieję.

Przepis ustawy łowieckiej, ustanawiający ochronę większości ptaków krukowato-drapieżnych, jest typowym przykładem próby supremacji pewnego, skądinąd nader szlachetnego, lecz abstrakcyjnego ideału nad realnemi warunkami życia, supremacji papieru nad knieją.

Przed budowniczymi naszej Przyszłości łowieckiej roztacza się wdzięczne pole do obmyślenia sposobów, by życie i knieja jaknajrychlej odniosły zwycięstwo nad papierem!

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

OD ADMINISTRACJI.

PP. Abonentów „Łowca Polskiego", którzy nie opłacili prenumeraty za rok 1932, I półrocze, I kwartał, lub miesiąc styczeń, — z przykrością zawiadamiamy, że numer niniejszy jest ostatnim, jaki pod Ich adresem wysyłamy.



Z CHARTAMI NA LISA.

Dla zajęcy nadszedł już szczęśliwie czas ochronny, a dla zapalonych charciarzy pozostało polowanie na lisy, co daje choć mniej liczne okazje do emocjonującego poszczucia, ale momenty te, rzadsze wprawdzie, znacznie jednak więcej stwarzają wrażeń.

Pościg za zającem bawi mnie, jako urozmaicony czasami dodatek do sportu konnej jazdy.

Jeżeli poluję z chartami, to jako zaproszony. Sam chartów nie miałem, ale pojmuję, że do polowania tego mogą zapalić się posiadacze chartów: wytwarza się to, przez konkurencję między właścicielami psów, oceniającymi przez porównanie, który z nich szybszy, wytrzymalszy, czy chwytniejszy. Tylko w poszczuciu lisa znajduję trochę emocji łowieckiej, nieco zaspokajającej żyłkę myśliwską, bo począwszy od upatrywania, jest się już podnieconym. Pocieszające wiadomości o widywanych na polu lisach sprawiły, że zaprosiłem sąsiada swego, pana O. z jego trójką chartów i przy sprzyjającej pogodzie, po późnym obiedzie, wyruszyliśmy.

Tym razem nie konno, bo kopny śnieg i silniejszy mróz, raczej do sanny zachęcał.

Sanie specjalnie do tego celu przygotowano: szerokie, długie i niskie. Trzy charty ułożyły się między naszemi stopami, przykryte kocem. Towarzyszyły nam jeszcze dwie panie, zachęcone poprzedniemi polowaniami. Z trzech osób, każda trzymała na smyczy przeznaczonego sobie do opieki psa, aby uspokoić go, kiedy zajdzie potrzeba, lub puścić ze smyczy. Czwarty, właściciel psów, przestrzegał ogólnego porządku i należytego przykrycia załogi, która składała się:

1) Góral, stary praktyk we wszelkich okolicznościach, pies duży, poważny o długim, płowym, jakby karbowanym włosie, ozdobiony wspaniałym ogonem w pióro. Typ chartów rosyjskich. Przy wszystkich zaletach, potrzebnych dla charta, posiada specjalnie dar brania lisów, których wiele ma już wziętych w swojej karjerze i to często w pojedynkę. Dzięki temu, jest głównym bohaterem dnia i na nim przeważnie opieramy powodzenie podobnych wypraw, jak dzisiejsza.

2) Sokół, syn Górala, młody, zaledwie w drugiem polu, zapowiada się dobrze, jak do zajęcy, tak i lisów: dość szybki, wytrzymały, silny i cięty; o sierści jedwabistej, krótszej trochę i jaśniejszej od Górala.

Tak jeden, jak i drugi, upiększony łysiną, poczynającą się od nosa wąskim paskiem między oczyma, przechodzącą do białego kołnierza, okolającego szyję.

3) Trzecia, Lalka — piękna, gładka jednolicie popielatej maści, nie duża, zwinna suka; średnio, w każdym razie na lisa wystarczająco szybka. Zające chwyta znakomicie; do lisa zaś zamało cięta i w pojedynkę nie może dać z nim sobie rady.

W parę mocnych, dobrych koni, wyjeżdżamy na teren, gdzie spodziewamy się spotkać lisa.

Powozi furman Janek, umiejący swoim doskonałym wzrokiem upatrywać lisy, jak również znakomicie podjechać upatrzonego.

Przy saniach biegnie stara wyżlica Djana, którą wziąłem, aby odbyła spacer codzienny, wiedząc, że jej nie zepsują ewentualności, odmienne dla jej fachu, a nam w polowaniu dopomóc nawet może, nie pozwalając ominąć lisa, przywarowanego, gdzieś w licznych kępach i trawach, i wypchnie go przed oczy chartów.

Po drodze pomykają ruszone zające, których oczywiście nie szczujemy.

Djana przypatruje się tylko, stając wtedy bez ruchu, przyczem na tle śniegu, pięknie odcina się jej, nerwowo drżąca, brązowa sylwetka. W sankach natomiast ruch powstaje wtedy większy, gdyż, albo pośpiesznie nakrywamy charty, aby nie zobaczyły ruszonego zająca, albo powstrzymujemy i uspokajamy jednego lub całą trójkę, skoro już wypadkiem zobaczyły pomykającego kota.

Jednego psa łatwiej i prędzej doprowadzić można do spokoju i wytłomaczyć mu, że na nic chęć wydostania się z sani do nęcącej pogoni. Gorzej, kiedy wszystkie psy szarpią się, a piszcząc i skomląc, podniecają się wzajemnie do wyskoczenia.

Od chwili stracenia z oczu zająca, do chwili pomknięcia następnego, na saniach panuje względny spokój.

Janek wybiera lepsze miejsca do jazdy, zależnie od myśliwskiego nosa, lub przypuszczeń naszych, skręca to tu, to w inną stronę.

Djana pracowicie przebiega we wszystkie strony, pobliskie większe trawy, krzaczki i kępy, tak, że na odległość możności poszczucia mamy prawie gwarancję, iż lisa nie zastaniemy gdzieś chytrze ukrytego.

Na zbadanie dalszej odległości, pozostaje nam wzrok Janka, który wraz z nami rozgląda się i biadać poczyna, że dotąd nie widać lisa.

Po paru jeszcze półkolach, zatoczonych na więcej otwartej przestrzeni, zbliżamy się do młodej, miejscami rzadkiej brzezinki, od której dzieli nas kilkuset metrowa przestrzeń pastewnika, pokrytego drobnym

jałowcem i krzaczkami, gęstniejącemi w kierunku owej brzezinki.

Nagle Janek skręca nieco końmi, sam nachyla się z badawczo utkwionym wzrokiem w stronę przeciwną, czem zdradza, że dostrzegł coś ciekawego. Wreszcie wyjaśnia z niezadowoleniem i tłomaczy pomyłkę:

„Myślałem, że lis, ale to psy jakieś — bo dwa!".

Lecz nie zmieniając pozy, wpatruje się ponownie i z podnieceniem i radością, zaraz dodaje zdziwiony:

„To nie psy, to dwa lisy!".

Mało mogę sprawdzić wzrokiem swoim znacznie słabszym, ale wierzymy niezawodnemu Jankowi. Zwróceni z zainteresowaniem w stronę, gdzie pragniemy dojrzeć przedmiot naszej wycieczki, naradzamy się nad najwłaściwszem zachowaniem wszelkich



„Sokół" w parku.

ostrożności w poczynaniach, aby błędem jakim nie zepsuć tak oczekiwanej, teraz właśnie nadarzającej się okazji. Dotąd cały zespół, zwątpiwszy w powodzenie, coraz więcej beznadziejne, był nastrojony na smutno. Teraz ożywił się i podniecił. Janek sam wie dobrze, jak jechać najlepiej i tłomaczy przesadnie przyciszonym głosem, że dalej pojedzie w tym samym kierunku, oddalając się bokiem od lisów, poczem zbliży się do brzeziny i od niej podjedziemy lisy, aby psy mogły je zobaczyć na odległość, pożądaną do poszczucia, i aby lisy przedwcześnie nie wpadły w zarośla, znikając psom z oczu.

Ja zwołuję Djanę możliwie najcichszemi znakami. Uważna i posłuszna suka już na skinienie ręki zbliża się ku nam.

Inni poprawiają niedostatecznie zasłonięte psy, wykonując to nieznacznie, aby nie poznały się na zabiegach, czynionych w celu pozbawienia ich nęcącego widoku. Umacniamy w rękach trzymane smycze, na wypadek przedwczesnego szarpania się psów. Diana posłusznie trzyma się sani. Konie idą raźnego stępa.

Już zbliżamy się tak, iż nadchodzi chwila wahań; czy puścić psy, czy bliżej jeszcze podjechać? Odległość wystarczająca.

Teraz rozmyślnie już odkryto charty; już z nastawionemi uszami sprężyście podniosły się, przeczuwając robotę. Pomimo ruchliwych, nerwowych rozglądań, ne dojrzały jeszcze lisów, gdyż te, spostrzegłszy nas, zatrzymały się w ruchu; chytrzejszy przycupnął nawet gdzieś za kępą i nie widać go wcale.

Czas już puścić psy. Najpierw uwagę Djany kieruję we wskazane miejsce i zachęcam ją do ruszenia lisów. Pobiegła w ich stronę. Charty rwą się za nią z sani.

Góral, oswobodzony z naprężonej smyczy, zeskakuje, potyka się w kopny śnieg; w tym czasie Sokół wypryska z pomiędzy nas, jak raca i w ślicznym skoku w górę, przesadza bok sani i Górala, który już zbiera się i rusza tuż za Sokołem. Wcześniej nieco wyskoczyła Lalka i zrównawszy się z Djaną, popędziły w dobrym kierunku. Oba psy biegną za niemi „na wiarę", bo czujemy, że nie widzą celu pogoni. Łatwo wyprzedzają suki i niestety widać, że psom teraz z wysokości ich oczu, trudniej jest zobaczyć lisy, snujące się w głębokiej trawie. Ale Góral, stary wyga, w dość szybkich susach radzi sobie: silnemi rzutami skacze parę razy w górę, aby z wysokości lepiej przejrzeć teren i odgadliśmy, że dojrzał umykające lisy, bo uszy położył i z dotychczasowego biegu przeszedł jeszcze w szybsze tempo, w zdecydowanym kierunku pogoni; za nim Sokół, sypiąc także śniegiem, nabierał pędu energicznemi susami. Choć kopny śnieg utrudniał pracę, ale szybkość potęgowała się znacznie. Śnieg kurzył za niemi i tak minąwszy suki, zbliżają się do uciekającej parki.

Odległość od brzezinki zmniejszyła się, jak również malała przestrzeń między psami i lisami, które już dochodziły rdzawej szczotki zarośli.

Kiedy druga para psów dopadła gąszczu, wszystko skryło się przed nami.

Zawracamy na miejscu i jedziemy ponad brzeziną, mając po drugiej stronie otwarty pas łąki, a za nią młody zagajnik.

Sądząc z terenu, wiem, że lisy gdzieś tędy tylko powinny wracać. Jechać za niemi wprost, jest niemożliwością, wiemy o tem, znając teren.

Zaciekawia nas, co się tam dzieje?

O tem, aby obydwa lisy były wzięte — nie marzymy. Na to trzebaby było, aby psy rozdzieliły się, każdy za swoim lisem, co jest najmniej możliwe, a że suki małą rolę odegrają, o tem nie wątpimy.

W wyobraźni odtwarzamy sobie wszelkie możliwości: Albo psy doszły którego lisa i wszystko zatrzymało się przy złapanym; albo może rozdzieliły się partjami, każda za swoim, ale jak się podzieliły — nie wiemy i przez to trudno przewidzieć rezultat.

W każdym razie nie wątpimy, że jeden lis będzie wzięty. Szkoda tylko, że pozbawieni jesteśmy widoku którego nadzieja głównie wyciągnęła nas w pole.

Radząc nad tem, śpieszymy ominąć wyższą brzezinę, zasłaniającą nam teren, dokąd pościg się skierował.

Jeżeli nie zbliży się on ku nam na przewidziany weksel, to liczymy na możliwość podjechania w stronę psów rowem, kierującym się wgłąb terenu.

Tymczasem konie, choć pobudzane do pośpiechu, nstawiwszy uszy, podniosły łby, targnęły dyszlem i zwolniły biegu, hamując sanie.

Przed końmi, wpoprzek drogi, z gąszczu na otwarte, wypychane jakby jakąś siłą, wynurzają się: lis w oszalałych ze strachu susach, za nim o parę metrów dwaj jego wrogowie: Góral i Sokół.

Sanie zatrzymały się i obserwujemy tak pożądany, a już mało spodziewany widok. Wszystko jak najlepiej się układa:

Na białej, otwartej przestrzeni ukazuje się lis, a szybko pracując zadem, rozpyla śnieg, zbierając nogi; za nim również unosząc tumany śniegu, rzucają się silnemu susami, znacznie większe od niego dwie sylwetki psów.

Przewidujemy koniec bliski.

Z sani odruchowo padły okrzyki podniecenia, dla zachęty psów.



Po pierwszej próbie chartów.

Poczciwy Góral, dosłyszawszy znany głos: źźgo! (weź go), choć zmęczony, widać było, jak wydobył z siebie jeszcze tyle energicznych rzutów, że przyśpieszył epilog: dopadł lisa, który, pchnięty uderzeniem, znalazł się w jednej chwili pod psami.

Trzy mknące sylwetki, jakby rozbiły się o niewidzialną jakąś zaporę i zatrzymały się w jednym punkcie, skąd przed chwilę tumany śniegu roznosiło sześć par, grzebiących się tam nóg.

Wkrótce z opadniętej mgły śniegu, wyłonił się zupełnie inny obraz:

Psy stoją teraz, naprzeciwko siebie z wyciągniętemi szyjami, połączone ze sobą długością rozciągniętego lisa, którego tylko kita dotyka bezwładnie śniegu. Cała grupa trwa tak bez ruchu.

Obaj z sąsiadem O. śpieszymy piechotą do psów.

Widząc, że lis gotów — O. krzyknął na psy, aby zdobycz puściły.

Mniej zawzięty, a więcej zmęczony Sokół, pierwszy chętnie puścił z zębów swoją połowę, aby zaraz położyć się, ziając pośpiesznie. Wtedy lis, mający jeszcze resztki życia, skręcił się pod Górala i schwycił go za tylną nogę. Pies puścił zad trzymanego lisa, zaskowyczał z bólu, a chcąc wyswobodzić nogę, począł się kręcić i deptać, aż wreszcie zwinął się tak, że sięgnął do karku lisa, dusząc go ostatecznie.

Ostre, jak szpilki, zęby trzymały jeszcze nogę psa, tak, że nawet wetkniętą trzciną, z trudem dało się rozdziawić, kurczowo zaciśniętą szczękę. Poczem oswobodzony Góral, wygodniej dokonał dzieła, nie puszczając z pyska szyi dławionego lisa, póki nie poznał, że robota skończona. Wtedy, namówiony przez swego pana, choć puścił zdobycz, to jeszcze śledził bacznie, czy lis się nie ruszy. Po chwili położył się obok Sokoła i dyszał z nim zgodnie, jak dwa, szybko poruszane miechy.

Dopiero, kiedy zabrano zdobycz do sani, psy podniosły się, spokojnie, podeszły do nas i lekko powskakiwały kolejno na swoje miejsca, gdzie przykryto je zaraz i gdzie wypoczywały, jakby uspokojone, dobrze dokonanem zadaniem.

Po chwili i suki obie wróciły, co dowodziło, że spotkało je, przewidziane zresztą przez nas, niepowodzenie. Gdyby Lalka zdołała dopędzić i zatrzymać lisa, to w trudnościach wzięcia go, dopomogła by jej napewno, dość cięta Djana, nadbiegłszy do zatrzymanego, a jako zamiłowana aporterka, nie wróciłaby bez lisa.

Ale słabsza od psów Lalka, nie mogła dojść do lżej od niej biegnącego po kopnym śniegu lisa, który zdołał nawet umknąć z oczu psów, dalej za nim idących, gdyż i teren sprzyjał jego wybiegom dla zmylenia pogoni.

To i inne rzeczy rozważając, krytykując błędy i doceniając właściwe zachowania się w danych momentach poszczególnych osób, jak i psów; wracaliśmy do domu, wszyscy uradowani dobrym wynikiem ładnego spaceru.

Otwarte, długie pyski, z trzech stron koca, sięgając powietrza, dyszały jeszcze, gładzone pieszczotliwie przez panie.

Góral tylko, od czasu do czasu, zwijał się pod nakrycie, gdzie stosował zabiegi lecznicze, liżąc bolesne ukąszenie.

W ożywionej rozmowie, parokrotnie jeszcze wspominane były momenty więcej ciekawe i emocjonujące, a już za wielkie wymagania mieli ci, co zaliczali do niepowodzenia fakt, że drugi lis nie został wzięty.

II.

Białej powłoki śniegu jeszcze tyle, że pozwala aby można było z dalszej odległości upatrywać lisy.

Widuje się je dość często w różnych miejscach, co nas zachęca, aby jeszcze przed końcem sezonu sprobować z chartami.

Pogoda odpowiednia, śniegu w miarę: nie kopno, a tyle, że psy nie kaleczą łap; koniom pod kopytami nie zbijają się bryły, ale sanny pozostały resztki już i tylko po drogach: przez pola wprost za psami, nie da się przejechać.

Postanawiamy wobec tego wybrać się konno we dwóch z sąsiadem O., który obiecał przyjazd swój wraz z chartami.

Umówionego dnia, wierzchową klacz O. przyprowadzono, co zapowiada, niezawodny jego przyjazd, jako też wkrótce sam nadjeżdża.

Niestety przywozi tylko jedną sukę, Lalkę, najmniej nadającą się na lisa w pojedynkę. Obydwa psy po ostatnim pościgu, jako niezdolne, zostać musiały w domu: jeden mocno podbity na ostrej grudzie; drugi załamał pazur. Straciłem więc nadzieję pomyślnego rezultatu i zwątpiłem, czy będziemy świadkami jakiej ciekawej sceny.

O. pociesza mnie, że konno, damy sobie jakoś radę:

Lalka zatrzyma lisa z pewnością, a naszem zadaniem będzie jej dopomóc.

Podano konie, parę osób, pragnących zobaczyć coś, choć zdaleka, wyrusza saniami; my obaj konno. Dojeżdżacza nie bierzemy. O. sam trzyma na smyczy Lalkę, która obok klaczy idzie spokojnie, obojętna na wszystko, zdaje się pochłonięta jedynie uwagą, aby stąpać na gładsze miejsca ostrych skib, po bezśnieżnych miejscach na roli.

Wkrótce po oddaleniu się od domu, na górze pod lasem, dostrzegamy coś, co nas zainteresowało i ku naszej radości rozpoznajemy myszkującego lisa.

Szybka narada: jak podjechać, aby nie dopadł lasu, zanim dojdzie go Lalka. Od lasu zatem chcemy go zajechać, i, aby zatoczyć większem kołem, zjeżdżamy z drogi.

Koń mój zaraz, strzygąc uszami, uniósł łeb i ruszył w bok, rwąc się do biegu, za nim klacz O. skoczyła także.

Pomykający zając wyjaśnił nam zachowanie się koni, które szybko zatrzymane szły spokojnie, tylko Lalka, piszcząc ciągnęła smycz, chcąc pogonić zająca.

Od tej chwili, podniecona, szła już uważnie, gotowa do pościgu, zapominając o dolegliwościach.

Jeszcze raz powtórzyła się niepokojąca i niepożądana scena z ruszonym zającem. Konie tak prędko nawykają do pościgu, że kiedy ujrzą zająca, ruszają za pomkniętym wcześniej często, niż zorjentuje się jeździec.

W tym sezonie, na swoim koniu zaledwie za kilkoma zającami jechałem, a odczuwam, że zrozumiał on już zadanie i teraz idzie stale przygotowany do skoczenia w stronę dojrzanego zająca.

Po drodze mamy do przebycia nizinę, więc opuszczając się do niej, tracimy z oczu lisa, wypatrzonego na górce, do której jedziemy.

Zblizamy się do kęp sitowia, pokrywającego pastewnik, życząc sobie, aby po drodze nie spotykać zajęcy, które przeszkadzają nam w spokojnem podjeżdżaniu.

Jak na złość, konie zrywają się ponownie do biegu.

Lalka też skoczyła, szarpiąc smycz.

Słyszę obok siebie tętent galopa mijającej mnie klaczy O. i krzyk jego: Żźgo! (Weź go) żźźgo!

Co to jest? Zajęcy nie szczujemy, do lisa jeszcze zadaleko.

Widzę, jak O. ściąga do rąk smycz, na której Lalki już niema i zanim zorjentowałem się w sytuacji, O. wyprzedził mnie i galopuje w stronę, gdzie suka w potężnych, półkolistych susach skacze przez kępy sitowia.

Spostrzegam co się dzieje:

Przed Lalką, szyje, jakby drobniejszym ściegiem lis, barwną i podługowatą bryłką ciągnie się płasko pod górę, w stronę lasu.

Po wyminięciu na paśniku miejsc pokrytych lodem, wpadamy na równe ściernisko i galopujemy.

Konie również odczuły, że tym razem sprawa traktowana jest na serjo, więc twardnieją im pyski i ciągną w stronę umykającego lisa, parskając wesoło w takt galopa.

Nie dbamy już, co stało się z lisem, upatrzonym na górce; stracony on dla nas tym razem.

Uwagę zwracamy z ciekawością na to, co odbędzie się za chwilę i jak się odbędzie?

Lalka, jakby demonstrowała nam w tej chwili różnicę szybkości jej biegu i lisa, do którego każdy sus zbliża ją widocznie, a w końcu przestrzeń między niemi zmalała już tylko do paru metrów.

Wiemy, że przed lasem zdąży dopędzić go napewno, ale co będzie potem?

A oto pierwsza scena już następuje. Pościg skończył się.

Dwa złączone ze sobą ciała zakotłowały się na miejscu, a zpośród nich wydobył się charkot pomieszany z piskiem.



Na straży przy zdobyczy.

Lalka nagle zaskowyczała i odskoczyła.

Lis skorzystał z tej chwili i oddalił się znowu. Ale znów krzyknęliśmy: eźźgoo! Ponownie odbyła się identyczna scena. Lis z psem skłębiły się i dalej nie biegną.

Przez to konie łatwo powstrzymać się dają i podjeżdżamy stępa. Lalka stoi już, gotowa rzucić się na lisa, ale obawia się jego wyszczerzonych zębów, któremi siecze, uniósłszy wargi. Tak siedzi metr przed suką, wpatrzony również w jej rozchyloną szczękę zębatą, gdzie w takt szybkich oddechów, suwa się czerwony wilgotny język. Magnetyzują się wzrokiem.

Lis nie probuje już ucieczki, bojąc się bolesnych ataków wroga.

Bliska obecność nasza nie trwoży go więcej od niebezpieczeństwa, grożącego mu ze strony psa.

O. zeskoczył z siodła, oddając mi cugle swego konia, podszedł do lisa, który pozwolił zbliżyć się tak do siebie, że O. pragnąc ułatwić suce, machnął szpicrutą, chcąc lisa uderzyć, aby ruszony zachęcił Lalkę do schwytania go.

Ale lis nie odważył się ruszyć z miejsca i nie spuszczał wzroku z przeciwnika, a obecność ludzi i koni lekceważył sobie w porównaniu do obawy przed psem.

Kiedy O. trzcinką sięgnął go po raz drugi, czy trzeci; ze złością schwycił ją w zęby, a trzymając mocno, zmuszony był zwrócić łeb w stronę O., który ciągnął trzcinkę ku sobie.

To go zgubiło!

Lalka pozbawiona, groźnego wzroku przeciwnika, skorzystała z odwróconej uwagi lisa i udało jej się tak schwycić go za kark, że pokonała ostatecznie drapieżnika.

Po chwili, potrzebnej dla zaspokojenia psiej zemsty i zachęty do podobnych walk, odebrano Lalce zdobycz i zanim reszta towarzystwa nadjechała sankami, troczyliśmy już lisa do siodła.

A że twardy i chytry lis, często odzyskuje przytomność, ba, czasem nawet symuluje tylko stan bezwładny, więc odwrotnie niż zająca, którego troczy się za tylne skoki, lisa wieszamy za szyję, aby wyłączyć możność schwytania zębami konia.

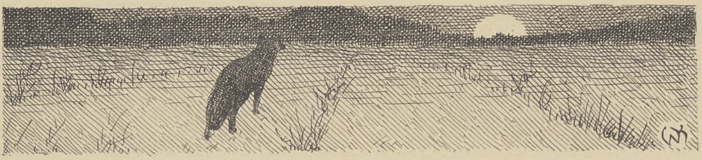
Piękna, puszysta kita zwisa do ziemi i wracamy tryumfalnie do domu, rozprawiając o wrażeniach, wywołanych głównie niespodzianem pojawieniem się po drodze innego lisa, niż ten, do którego zbliżaliśmy się z uwagą i emocją, a którego zlekceważyliśmy wkońcu i umknął nam niepostrzeżenie.

Jednak nie uszło mu to bezkarnie, gdyż w parę dni całą już trójką chartów, bardzo blisko tego samego miejsca, uszczuty był lis, prawdopodobnie ten sam.

Spodziewając się możliwości spotkania go w poprzedniem miejscu, zajechaliśmy odrazu do lasu. Ruszył daleko i ułatwił nam dojrzenie go, a psy zdążyły umiejscowić lisa przed lasem.

Pościg był dość długi i po ciężkim terenie, ale widok był ciekawy, kiedy lis wymachując kitą dawał psom obroty, a te pokolei chwytały go mniej, lub więcej udatnie, aż wkońcu spóźniony Góral, dopadłszy ofiary, bez pudła umieścił zęby w karku lisa i nie puścił, aż odebraliśmy go, już nieżywego.

STANISŁAW LESKI.



ZE WSPOMNIEŃ MYŚLIWEGO-EMIGRANTA.

TRZYNASTY WILK.

(Poświęcam A. W. Stolarowowi).

Strzelać na „cudze stanowisko", tj. do zwierzyny, znajdującej się poza obszarem waszego obstrzału, przed linją strzelców, na polowaniach towarzyskich było zabronione, — o czem już wspominałem.

Strzał taki pociągał za sobą konsekwencje: 1) karę pieniężną, 2) konfiskatę zwierzyny na rzecz T-wa, którą się zaraz na miejscu sprzedaje przez licytację, a którą przeważnie kupuje ten, kto zabił.

Ponadto każdy, a tembardziej stary myśliwy wstydzi się strzelania do cudzej zwierzyny.

Podczas rozstawiania na stanowiska, albo zaraz po zajęciu wyznaczonych miejsc, sąsiedzi przeważnie ściśle określają wzajemne granice linją, jakimś krzakiem, drzewem i t. p.. Robi się także znaki na samej linji strzelców i teoretycznie wyprowadza się taką linję wprzód, ponieważ od chwili postawienia na stanowiska, aż do zakończenia miotu nie wolno się poruszać z miejsc.

Na tak przeprowadzonej w myślach linji, czasami wskazuje się na jakieś znaki szczególne. Ale najczęściej w tym celu posługiwać się trzeba miarą własnego oka.

Staremu myśliwemu jakoś nie wypada przyznać się do posiadania złej miary w oku. Ale gdy obok stoją starzy i doświadczeni myśliwi, to ci czasami nie robią żadnych znaków, odgraniczających stanowiska, ale na oko określają połowę drogi od siebie.

Czasami granice stanowisk są same przez się wyraźne. Dlatego też, mówiąc wogóle, na obce stanowisko może strzelić albo b. młody i niedoświadczony myśliwy, albo też i niemłody, ale zanadto gorący strzelec.

Ani jeden ani drugi nie zyskuje przez to na honorze i sławie.

Jednakże bywają wypadki, gdy niemłody, doświadczony i wytrawny myśliwy może strzelić na cudze stanowisko, ponieważ niema reguły bez wyjątku.

Chcę właśnie opowiedzieć o jednym z takich wypadków. O tyle jest on ciekawy, że wiąże się z feralną trzynastką.

W sezonie 1903/4 r. A. N. Milukow ustanowił u nas w T-wie nowy rekord na wilki, bijąc poprzedni, swój własny w liczbie 11 wilków i już go pobił, mając na rozkładzie 12 sztuk.

Pod koniec sezonu wyznaczono polowanie b. daleko. Od stacji kolejowej trzeba było jechać końmi 30—35 wiorst, a prócz tego polowanie to należało do „niepewnych", jak informowali pskowicze.

A. N., jako zarządzający zimowemi polowaniami na wilki, otwarcie powiedział o tem, gdy się zebrano w wilję w celu zapisania na polowanie.

Pragnących jechać w tych warunkach gdzieś, za dziesiątą górę — nie było, tembardziej, że wyznaczono jeszcze dwa inne polowania. Trzeba było jednak coś postanowić z temi „dziesiątemi górami", albo cofnąć pskowiczów, obciążając wydatkami, związanemi z przygotowaniem polowania, T-wo, albo zaryzykować i jechać w kilku.

W takich wypadkach zwykle liczono na dyrektorów T-wa. — A. N. zwrócił się wtedy do nas z propozycją, aby ktoś z nim pojechał do „tych parszywych Jegor-Lemnów".

Zgłosiło się i zapisało na jego propozycję jeszcze czterech dyrektorów — serdecznych przyjaciół A. N. i wzajemnych: A. W. Stolarów, N. N. Raszewski. I. I. Penkala i ja.

Nikt więcej z T-wa nie chciał się zapisać i tak jakoś zebrało się polowanie czysto dyrektorskie.

Myśmy sami, ma się rozumieć, nie bardzo liczyli na udane polowanie, ale częściowo polegaliśmy na „milukowskiem szczęściu" i cieszyliśmy się myślą dalekiej podróży w towarzystwie serdecznych przyjaciół.

Znane nam były powody, dla których polowanie było niepewne. Obok znajdowały się tereny innego T-wa Myśliwskiego, wobec czego gniazdo wilków mogło leżeć na cudzem miejscu, albo mogło nawet być rozproszone przez członków tamtego T-wa.

Wogóle, gdy się zdarzy, że stado wilcze znajduje się w bliskości granicy innych myśliwych, powstają komplikacje. Pskowicze i strażnicy łowieccy sąsiadów, zazwyczaj używają wszelkich możliwych wysiłków, aby przeciągnąć wilki na miejsce swego posiadania.

W tym celu jedni i drudzy nie tylko kładą przynętę na swoich gruntach, co jest zupełnie zrozumiałe i zgodne z prawem, ale uciekają się też do różnych „sposobów": chodzą do cudzej przynęty, depczą tam, hałasują i nawet (sic)! polewają wokoło przynęty i samą przynętę naftą, — wszystko dlatego, aby odstraszyć stamtąd wilki.

Solidne T-wa Myśliwskie, z naszem na czele, nigdy nie pozwalały na takie sztuczki i zabraniały pskowiczom oraz strażnikom uciekania się do podobnych metod.

Ale dwie przynęty, leżące obok siebie już wystarczają, aby polowanie było wątpliwe dla obu stron.

Otóż nam, dyrektorom T-wa, zachciało się na miejscu sprawdzić czynności jednych i drugich pskowiczów oraz strażników. Po przyjeździe na miejsce dowiedzieliśmy się od pskowiczów, że gniazdo zostało już gdzieś rozbite przez innych myśliwych. Coprawda do przynęty przychodzi 4 — 5 wilków, a odchodząc od przynęty, zawsze rozbijają się na dwie-trzy partje, kładą się przeważnie u nas, ale czasami część z nich idzie na cudze tereny. Wilki są bardzo ostrożne i otoczyć je b. trudno. W tej chwili są otoczone dwa wilki, a jeszcze trzy poszły dalej, w inną stronę, gdzie już i przedtem zalegały.

Po polowaniu na te pierwsze obłożymy i tamte.

Śniegu było b. dużo, a padał też i porzedniego wieczora — teraz znów zaczął trochę sypać.

Udaliśmy się do pierwszych wilków, które były otoczone w dużym gęstym borze. Nie można było blisko podjechać sankami i trzeba było daleko iść na nartach, po głębokim i sypkim śniegu, co jest bardzo męczące.

Głusza i cisza, jakiej zdaje mi się jeszcze nie obserwowałem: olbrzymi las, a na dole jakby błoto; wszędzie krzaki, kępy, jakieś rośliny a gdzieniegdzie trzcina.

Zajęliśmy stanowiska. Krąg tak duży, że z jednego stanowiska nie widać drugiego.

N. N. Raszewski zabił jednego wilka. Drugi uciekł: nikt do niego nie strzelał i nikt go nawet nie widział.

Zaczęliśmy się zbierać. Ja ze swoją kulawą nogą pozostałem cokolwiek w tyle i zupełnie zabłądziłem: trafiłem wprawdzie na ślady po nartach, ale nie na wyjściowe a na te, któremi okrążali wilki i zacząłem krążyć, dopóki nie wyszedłem na okrzyki i nawoływania.

Pojechaliśmy do tych drugich wilków. Otoczyli je dość szybko. Jeden wyszedł z kręgu przed pędzeniem. Pozostały otoczone dwa.

Miejsce miotu — zupełnie innego rodzaju: przed nami nie zanadto zwarty, mieszany las z przewagą sosny. Pomiędzy drzewami gęste, zaniesione śniegiem krzaki, grupy małych sosenek i świerczyny. Tam są wilki.

Myśliwi rozstawieni od strony lewej do prawej, nie na drodze, ani na linji, a na wąziutkiej ścieżce czy też miedzy.

Z tyłu — najbardziej gęste krzaki o wysokości dwa razy większej od wzrostu ludzkiego. Pierwsze miejsce zajął A. W. Stolarow, drugie — N. N. Raszewski, trzecie — A. N. Milukow, czwarte — ja, i krańcowe, prawe jako piąte — I. I. Penkala.

Pierwszy stoi na skraju lasu, w którym leżą wilki, a ja przy drugim jego końcu: wprawo odemnie już tylko krzaki; piąty zajął miejsce na samym brzegu tych krzaków.

O trzydzieści kroków wprawo od trzeciego stanowiska, przy samej ścieżce rośnie zbity i szeroki sosnowy, czy też jedlinowy krzak i tuż obok dwa drzewa.

Akurat w tem samem miejscu ścieżka lekko zbacza. Odemnie do tego krzaka — 55 — 60 kroków. Przy zajmowaniu stanowisk nikt z nas nie myślał o określeniu granic swego stanowiska — i tak je widać.

Myśmy się wzajemnie z A. N. nawet nie widzieli.

„Pa-szo-oł"!!! — popędzili.. Strzałów nie słychać. Spojrzałem w lewo i widzę, że przy samym krzaku, o którym mówiłem, pomiędzy dwoma drzewami, stoi wilk, wysunąwszy się cokolwiek z lasu.

Wziąłem go na muszkę, ale nie strzelam, chociaż zdaje mi się, że moje stanowisko sięga do krzaka. Od-

ległość nie mniejsza, niż 55 kroków, więc trochę zadaleko i może być, że bliżej jest do stanowiska A. N

Opuściłem strzelbę, nie tracąc wilka z oczu. Czeka. Być może, podejdzie bliżej do mnie lub do numeru trzeciego.

Tymczasem naganka zbliża się do myśliwych. Wilk to się cofa, to znów pokazuje, nie zdradzając chęci zawrócenia w tył, przeciwnie — robi wrażenie jakby chciał odrazu przesunąć się przez ścieżkę. Puścić go przez linję nie można, bo gdy przekroczy ścieżkę - skryje się natychmiast w gąszczach, gdzie już strzał jest niemożliwy.

Strzelać go znów na dróżce — oznacza poczęstować sąsiada loftkami. Więc znów wycelowałem do niego. W ten sposób przetrzymałem go wogóle na muszce około półtorej minuty.

Widocznie A. N. nie widzi go przez krzak, a ten już się przygotował do skoku przez ścieżkę.

Myślę sobie, że strzelbę mam dobrą. Jeśli go nie ułożę na miejscu, to silnie ranię, a w każdym razie nie dam ujść bez strzelania. I nacisnąłem spust. Wilk padł, ale odrazu się porwał. Strzeliłem z drugiej lufy. Wilk skoczył w tył...

„Zejść ze stanowisk"... Poszedłem sprawdzić tropy i widzę prócz farby duże ekskrementy wilka — nieomylny znak ciężkiego, prawie zawsze śmiertelnego postrzału w żołądek albo w kiszki. W tej chwili ukazuje się A. N. — zły, jak djabeł.

„Czort wie co"! Tylko jakiś fuszer może strzelać na cudze stanowisko, a nie porządny myśliwy i to w dodatku dyrektor T-wa".

„Jakto na cudze stanowisko"?

„A oto tak — popatrz".

Przyglądam się: od niego ze 30 kroków, a odemnie ponad 50.

„Dlaczegoż nie strzelałeś? Przecież tyle czasu deptał na miejscu, a ja go trzymałem na muszce z półtorej minuty, sądziłem, że go nie widzisz"... Objaśniam go o wszystkiem, ale on słuchać nawet nie chce.

„To nie twoja rzecz! Dawno widziałem, ale nie mogłem strzelać przez gęsty krzak".

„No to nałóż mi karę, konfiskuj wilka, tylko na miły Bóg, nie gniewaj się, — przecież pomimo wszystko miałem podstawy"...

Podeszli też inni i zaczęli go uspokajać. W końcu postanowiono wybrać arbitra „najsprawiedliwszego" A. W. Stolarowa. Ten wszystkiego uważnie wysłuchał, skrupulatnie obejrzał otoczenie, zbadał topograficznie i odliczył kroki od wilka do naszych stanowisk. Do A. N. było 31 kroków, do mnie — równo 55.

Orzeczenie...

Aczkolwiek wilk był o 24 kroki bliżej od Nr. 3, biorąc jednak pod uwagę miejsce, oraz wszystkie inne okoliczności, Nr. 4 miał prawo strzelić, tembardziej, że wyczekał pewien czas.

I tak, i nie. Czort swoje, a pop swoje!

„Wszystko jedno, znać go nie chcę. Z orzeczeniem A. W. również się nie zgadzam"...

Wtedy już N. N. Raszewski, człek rozsądny, ale z temperamentem nie wytrzymał.

„Więc czegóż ty chcesz. Przyznali człowiekowi rację, a on pomimo to przeprasza, prosi o przebaczenie, proponuje, aby mu wymierzyć karę i oddaje wilka! Nie pozostaje nic ponadto, jak weź strzelbę i zastrzel go... innej rady niema".

Wszyscy się roześmieli, nie wyłączając i A. N.

„Niema go zaco karać i wilk niech będzie jego, o ile go znajdziemy... A ty swoją drogą... Przypuśćmy, że zabiłem już 12 wilków i ustanowiłem rekord... Ale tyś mi nie pozwolił na zabicie trzynastego, rozumiesz? Zresztą i ja ciebie przepraszam i pocałujmy się... a o fuszerach już więcej nie będziemy wspominali"...

Już zapadał zmierzch. A gdyśmy się sprzeczali, kłócili i sądzili, pskowicze oczekiwali na zakończenie, więc zupełnie ściemniało. Nie można było poszukiwać mego wilka. Drugi wilk poszedł niestrzelany podczas miotu.



Dublet do „głuszców" mławskich. Fot. St. Steliński.

Powróciliśmy do chałupy, gdzieśmy się zatrzymali i przy butelce dobrego wina długo śmieliśmy się z tego wypadku, wspominając analogiczne.

I. I. Penkala z poważną miną dowodził, że wszystko tak wyszło, gdyż dla A. N. był to trzynasty wilk i z ledwie widocznym uśmieszkiem z pod gęstego wąsa opowiadał: „a oto u nas na Litwie"...

Po tym epizodzie jeszcze bardziej zaprzyjaźniliśmy się z A. N. i aż do śmierci nie mieliśmy najmniejszych nieporozumień.

Gdy profesor I. P. Aleksiński sprawił cud, wycinając mi sarkomę na szczęce i ja po narkozie otworzy-

lem oczy, to najpierw ujrzałem szczęśliwie uśmiechniętą twarz A. N., oczekującego na moje przebudzenie po zawiadomieniu go przez I. P., że tym razem niebezpieczeeństwo śmierci dla mnie minęło.

Odjeżdżając z Jegor-Lemnów A. N. pozostawił jednego pskowicza, specjalnie dla poszukiwań rannionego wilka. Ale już z wieczora zaczął padać gęsty śnieg, padał całą noc i na rano było go już tyle, że wszelkie poszukiwania spełzły na niczem.

Na wiosnę strażnicy znaleźli w tym samym miocie trupa wilczego, o 400 — 500 kroków od miejsca gdzie wtedy strzelałem.

Tak więc w owym sezonie nie udało się A. N. zabić trzynastego wilka, a rekord jego pozostał na dwunastu.

Był on pobity, zdaje mi się, już po jego śmierci.

Przełożył JERZY DYLEWSKI



ZNÓW „ZAWALONY LASEK".

I w tym roku znowu, korzystając z uprzejmego zaproszenia p. M. Slezkina, jedziemy do samego serca karasińskiego lasu, na „Zuzankę", do tych cudownych i nigdy nie zapomnianych kniei, które—dzięki dobrej opiece i ukochaniu świata zwierzęcego i całej przyrody przez gospodarza — zawsze są pełne dzikiego zwierza.

Jeszcze na kilka dni przed naszym wyjazdem do Karasina, dowiadujemy się, że po ostatniej ponowie otropiono tam 21 wilków, dwa rysie i kilka stad dzików. Nic więc dziwnego, że, otrzymawszy tak pomyślne wieści, jedziemy na „Zuzankę", pełni jak najlepszych myśli, na mające odbyć się łowy. Głównym jednak celem naszej wyprawy są wilki.

W dniu 13 stycznia wieczorem spotykamy się na dworcu w Kowlu i wyruszamy już dalej razem do stacji Maniewicze.

W polowaniu bierze udział 5 osób: — p. wojewoda wołyński — H. Józewski, p. Wł. Kampioni, p. inż. W. Gordziałkowski, p. kpt. Wł. Kuncewicz i niżej podpisany. W jednym dniu polował też z nami p. A. Birar, właściciel maj. Maniewicze, natomiast p. Slezkin nie mógł niestety wziąć udziału w polowaniu, będąc zajęty ważnemi sprawami w Warszawie. Prowadzenia polowania na wilki podjął się p. inż. G., który posiada 4 kilometry własnych sznurów.

W Karasinie nocujemy we dworze i następnego ranka odbywamy ostatni etap podróży do lasu, na kochaną „Zuzankę". Po drodze p. wojewoda J. i niżej podpisany—podjeżdżamy kilkakrotnie do cietrzewi, których tu są ogromne stada. Czasu wprawdzie mieliśmy na podjazd mało, ale pogoda była wprost wymarzona, więc po dwu godzinach przyjeżdżamy na „Zuzankę" z siedmioma ślicznemi kogutami. Na „Zuzance" zastaliśmy już resztę myśliwych i wszystkich gajowych, którzy tego ranka tropili wilki i dziki. Tu nas jednak spotyka przykre rozczarowanie, dowiadujemy się bowiem, że wilków dziś w karasińskim lesie niema i że wyszły na dzień, by zalec w sąsiednim lesie majątku Czerewiszcze. Nie b. jednakże tem się przejmujemy, mamy bowiem w rezerwie przed sobą kilka dni pobytu na „Zuzance", więc pocieszamy się, że wilki wrócą przez ten czas, a wtedy zobaczymy!..

Jako „corpus delicti" obecności wilków tej nocy w lesie objazdowy przywiózł nam świeżo rozszarpanego przez wilki tegorocznego warchlaka. Ponieważ miejsce owego dramatu było b. blisko wsi i tuż przy drodze, więc widocznie spłoszone wilki porzuciły swą ofiarę, gdyż dzik był w jednem tylko miejscu trochę przez nie napoczęty. Po śniadaniu i krótkiej naradzie, postanawiamy wziąć jeden miot, w którym są obłożone trzy duże dziki. I tu las karasiński, jakby chcąc zachęcić do przyszłych w nim łowów, obdarza szczęściem kpt. K., który pierwszy raz tu jest na polowaniu. Los zrządził, że on właśnie z nas pięciu zabił w tym miocie dzika, ważącego ok. 8 pudów. Ponieważ już zaczynało zmierzchać, więc daliśmy dzikom spokój i wróciliśmy do domu. Na drugi dzień rano znowu rozjeżdżamy się wszyscy w różne strony lasu, tropić wilki. Tym razem pierwszy promyk nadziei przenika do naszych serc: oto bowiem inż. G. otropił cztery wilki w „Zawalonym lasku". A więc znów „Zawalony la

sek"!... Jest to ten ostęp, tak czarowny, a zarazem tak dziki, w którym w zeszłym sezonie zimowym padło dwa rysie; można być pewnym, że ostęp ten nie będzie pustym miotem. „Zawalony lasek" to kolebka i ostoja rysi i wilków w karasińskiej kniei zimą, i miejsce zapamiętałych gonitw godowych słonek i wabienia się przeciągłym świstem jarząbków wiosną! Tyle razy już stałem na stanowisku w „Zawalonym lasku", a zawsze wywiera on na mnie nowy, jakiś niewypowiedziany urok! Dziś jednak miał on się wryć w moją pamięć najsilniejszem i nieznanem mi dotychczas wrażeniem!...

Cicho, szybko i sprawnie ciągną łowcy sznur z krwawo-czerwonemi strzępkami materji, na widok której chytry i drapieżny wilk głupieje i ulega panicznemu przestrachowi, którego nawet nie może przezwyciężyć ani huk strzałów, ni nawoływania obławy. Podjeżdżamy do miotu, obciągniętego już fladrami i pociągnąwszy szybko numery stanowisk stajemy każdy na swojem. Mnie i sąsiadowi memu z lewej strony p. B. przypadło miejsce w środku, tam, gdzie nie wystarczyło sznura do zupełnego zamknięcia miotu. Z prawej strony ode mnie, o jakieś pięćdziesiąt kroków zaczynają się chorągiewki, które trzepocą silnie na wietrze. Naprawdę jakieś dziwne uczucie ogarnia człowieka na widok sznura z chorągiewkami rozwieszonego na krzakach w lesie. Las wygląda niby odświętnie i uroczyście, a zarazem jakoś złowróżbnie i krwawo!... Lecz oto już sygnał i naganka rusza. — Z lewej strony mam gęste łozy i olchy, a z prawej zaczyna się starodrzew sosnowy, rzadki i bez podszycia, zdaleka więc dobrze widnieją w nim czerwone chorągiewki. Mija pięć minut, sześć, siedem, a wilków niema! Wtem z prawej strony coś zdaleka miga... załomotało mi serce... wstrzymuję oddech... i w zgrabnych susach sunie... kozioł, — nie wilk niestety... Jeszcze przeprowadzam rozczarowanym wzrokiem kozła, gdy wtem z lewej strony pada strzał: jeden, drugi i trzeci. Zelektryzowany rzucam wzrokiem na lewo, w gąszcz i widzę pierwszy raz w życiu na łonie natury wilka. — Przebiegł kilkadziesiąt kroków i stanął na brzegu gęszczaru, o jakieś sto kroków ode mnie, gdyż zobaczył w oddali przed sobą fladry. Momentalnie zmienia kierunek i sadzi galopem prosto na sztych ku mnie gdzie niema strasznego sznura, lecz czyha nań za to z bronią w ręku wróg — człowiek. Serce mi wali, jak młotem i do gardła się wciska, lecz szalona emocja i niepewność strzału trwa krótko, bo wilk już jest na piętnaście kroków: strzelam więc z rzutem prosto mu w pierś i wilk pada w ogniu, lecz momentalnie podnosi się i zwraca w miot wciąż padając. Jeszcze jeden strzał — i tym razem wilk pada, by już nigdy nie powstać!... Serce mi mało nie pęka z radości i dziękuję gorąco św. Hubertowi, że mnie obdarzył wymarzonem i jakże mocno upragnionem, wspaniałem trofeum! Za chwilę padają jeszcze dwa strzały na prawym flanku i po strasznej wrzawie i okrzykach naganki: „A kudy! a kudy!" jeszcze dwa strzały na lewem skrzydle i koniec miotu.

Schodzimy się wszyscy i dowiadujemy się o wspaniałym rezultacie miotu: cztery wilki! a mają je po jednym p. wojewoda J., p. B., kpt. K. i ja. A więc wszystkie, które zostały osznurowane, padły. Trzy piękne basiory i młoda wilczyca. Ładujemy wilki na sanie i pełni humoru wracamy do leśniczówki. Następnego dnia w lesie wilków nie było, a otropiony początkowo pojedynek spacerował cały dzień z miotu w miot, nie dając się ostatecznie objechać. Z powodu spóźnionej pory musieliśmy zostawić w spokoju obłożone w innym końcu lasu stado dzików i wracać do domu. Dnia tego widzieliśmy około piętnastu głuszców, które, zatoczywszy łuk nad naszemi głowami, spokojnie przeleciały do serca kniei „Berłożyszcz" gdzie wiosną cały las o świcie rozbrzmiewa pieśnią głuszców.

W sobotę zrana znowu są wilki, lecz tym razem zaległy na dzień w „Berłożyszczach". Dajemy więc spokój dzikom i jedziemy na wilki. Inż. G. ryzykuje i przecina linją oddziałową ogromny miot na dwa: jeden duży i drugi zupełnie mały „Berezniak", położony na błocie i porośnięty karłowatą sosną, brzozą i łozami, w którym właśnie, jak się okazało, wilki zaległy.



Z miotu w Bereźniakach.

Po zaciągnięciu flader, stajemy na wylosowanych stanowiskach, wyznaczonych przez p. inż. G. Mnie przypadł ostatni numer na flanku, a więc na wilki z fladrami bardzo dobry. Zaledwie zdążyłem zająć wskazane mi stanowisko, gdy obława ruszyła... Stanąłem w gęstej łozie, mając za sobą chorągiewki o jakieś sześćdziesiąt kroków, a dokoła siebie wolny obstrzał. Po krótkiej chwili pada pierwszy strzał z prawej strony, a zaraz po nim znowu dwa, i cisza, tylko naganka coraz głośniej nawołuje i zbliża się od lewego skrzydła ku mnie. Wtem słyszę szelest za plecami, momentalnie obracam się i widzę, jak ogromne wilczysko mija mnie, galopując i ciężko kopiąc się w głębokim śniegu, równolegle do sznura. Tak widocznie

był zajęty i przerażony czerwonemi chorągiewkami, że mnie absolutnie nie zauważył. Spokojnie więc zmierzyłem w łopatkę — strzelam... i ku niewypowiedzianej mej radości wilk padał. A więc los mię obdarza drugim już wilkiem na tem wspaniałem polowaniu. Jeszcze pada kilka strzałów na prawo ode mnie i miot skończony. Rezultatem miotu jest: dwa wilki i lis. Drugiego wilka i lisa zabił inż. G., który stanowisko zajął na stogu siana, skąd też strzelił, ponieważ wypadło mu ono na zupełnie niemal czystem błocie.

Ostatniego dnia wzięliśmy jeden miot na dziki, w którym inż. G. ubił jednego przelatka. Na tem polowanie się skończyło, a pięć dni zleciało, jak jedna chwila, ale wrażenia, przeżyte w czasie pobytu na „Zuzance", wryły mi się głęboko w pamięć, pozostawiając gorącą wdzięczność w sercu kochanemu gospodarzowi, któremu też na tem miejscu niech mi wolno będzie jeszcze raz w imieniu nas wszystkich szczerze podziękować za łaskawe zaproszenie.

Na zakończenie nadmienię, że w czasie naszego pobytu w karasińskim lesie widzieliśmy dwa orły i kilkanaście głuszców, których dzięki troskliwej opiece gospodarza z każdym rokiem przybywa.

Żegnaj kochana puszczo! do wiosny, do nowych, choć zupełnie innych, lecz nie mniej silnych wrażeń!...

WŁADYSŁAW SKORUPSKI

SŁUCHAĆ HADKO!

Baj baju, będziesz w raju — mówi święte, stare przysłowie. Postaram się i ja, żeby być w tym obiecanym raju! Jeśli przysłowie nie kłamie to nie bardzo trudno dostać się tam.

Lubię czasem wyjść w pole z dubeltówką sam lub we dwóch najwyżej i wędrować bez celu i potrzeby przed siebie. Ot, tak sobie!

„Ochota" przyszła. Idę, idę, skaczę przez zagony i — „poluję".

Idę, idę i myślę. „Myśliwy" dlatego przecie tak się nazywa!

Wszystko jest jego: i wiatr polny, co niesie „wiatr" czujnemu psu, i miedza, kamień, gdzie kot drzemie, i świat Boży, cały dobrotliwy i nieogarnięty.

Jestem sam.

Nie peszy mię gwar naganki i hałas w kotle. Nie słyszę wrzasków obławy w lesie. Prawda, że i tamto przyjemne! Zabić więcej można. A tak? Tak, pochodzić można, posłuchać, podpatrzeć życie ciche i spokojne, nie zgwałcone brutalnie ręką człowieka. A że się nie zabije nic lub mało — nie wielka szkoda. Zresztą i tym sposobem polując, można się czasem ubawić doskonale.

Było to w czasie świąt Bożego Narodzenia. Mróz trzymał silny. Lodem okryte gałęzie iskrzyły w południe setkami lodowych brylantów. Chrupki śnieg skrzypił pod nogami donośnie.

Wyszliśmy w pole we dwóch. Za folwarcznemi zabudowaniami stał nieduży lasek olszowy. Za nim ciągnęły się orne, obsiane oziminą, pola. Niedaleko szosy, stanowiącej granicę, w kącie pomiędzy nią i traktem był kawałek poplonowego łubinu.

Rozciągnęliśmy się, biorąc chłopaka w środek i jazda! Raczej z przyzwyczajenia niż z ochoty. Na kresach zajęcy jest mało i dobrze trzeba się nachodzić i natrudzić, żeby jakiego znaleźć. Śladów dużo, a zajęcy niema! Te pozostałe nieboraki mają dużo miejsca do wyhasania się. Co przez jedną noc księżycową jeden nakluczy, to wydaje się, że Bóg wie ile ich było.

Szliśmy tedy, tęgim gonieni mrozem tu i tam. Mija dwadzieścia minut, pół godziny, godzina... półtorej. Niechże cię licho! Ki djabli? No, bo że mało zwierzyny jest, tośmy dobrze wiedzieli, ale żeby aż tak mało, to nie przypuszczaliśmy. Wypłoszyliśmy tylko biedne, małe kury, które furknęły nam z przed nosa, opadły o dwieście kroków od nas i piechotą pobiegły w pobliskie krzaki nad rzeczką.

Dokładnie oszczypani we wszystkie mniej lub więcej odkryte kończyny, chcieliśmy już wracać. Właśnie czerwone, zimowe słońce chyliło się ku dołowi. Granatowy śnieg czerwieniał, purpurowił się i zaogniał fantastycznie. Ogromna przestrzeń bez ciemnego miejsca stała przed nami... Ale nie wszędzie bez ciemnego punktu. Wzrok mój spoczął w tej chwili na przysypanym do połowy badyli łubinie. A może tam wejść? Niedaleko — ze dwieście kroków. Towarzysz odradza. „Nosa i uszu nie czuję" — mówi.

Ale dał się przekonać.

Myśliwy jest naiwny, jak dziecko. Przed każdym miotem, przed każdym kotłem oczekuje cudu. A nuż? Spodziewa się sukcesów, zwierzyny w niebywałej ilości, lub rzadkiego okazu.

Czy to na polowaniu na grubego zwierza, czy na zające, czy na mdłe kury, zawsze jest jednakowy. No, teraz dopiero zobaczymy — mówi sobie!

Śnieg sucho chrzęści. Po chwili trzaskają pod naszemi stopami badyle łubinu.

Nagle...

„Kot, kot, tam na lewo ślepcze jeden; tam, tam koło kamienia" — krzyczy mój towarzysz.

Odwracam się, szukam oczyma. Lufa trzęsie mi się w zgrabiałych rękach. Jest. Szoruje, aż huczy! Bach—bach—leży!

Chłopak biegnie. W tej chwili z pod nóg wyskakuje mu drugi.

Ach, Boże! Lodowate palce wpychają rozpaczliwie ładunki. Już daleko. Dwa strzały oddaje bez rezultatu mój towarzysz. Ruszamy dalej. O parę kroków stoi „kamienica" (zebrane w polu na jedno miejsce kamienie). Dwa koty wyrywają się w dwie strony. Łupię do nich z dwóch luf. Pudło. Znowu ładuję czemprędzej. Trzeci wyskakuje prawie z pod nosa! Znowu dwa pudła!

Uważnie już posuwamy się powoli naprzód. O trzy, cztery metry odemnie, wyrzucony, jak z katapulty, wyrywa się ogromny kot. Wypuszczam go trochę i krop. Trafiony w głowę koziołkuje kilka kroków a później podskakuje w miejscu przez parę chwil. Słyszę

strzały obok siebie i wrzask chłopca, który wysforował się trochę przed nas. „Panyciu, panyciu!"

Oglądam się wszędzie. Biegnę do niego. Spłoszony z lewej strony zając defiluje przedemną o jakieś sześćdziesiąt kroków. Łomot — raz. Łomot — drugi! Jest. Zbliżyliśmy się do skraju pola. Koniec. W przeciągu dosłownie 10-ciu czy 15-tu minut poszło dziesięć zajęcy. Ja zabiłem trzy, mój towarzysz dwa. Drżący i spoceni, ale radośni, podchodzimy do siebie. To niebywałe! Kto tyle kotów tu pospędzał? *). Żebyśmy tak fatalnie nie pudłowali to prawie żadnego moglíśmy nie puścić. Śmiejemy się. Jeden drugiemu opowiada, jaką głupią miał minę. No, bo ktoby się tego spodziewał! Dziesięć zajęcy na tak małej przestrzeni, a przedtem dwie godziny próżnej łazęgi. Jest już nam gorąco. Krew chodzi równo w żyłach. Oczy się śmieją. „A nie chciałeś iść" — wyrzucam mu z triumfującą miną, jakbym to ja właśnie za ogony wszystkie te koty z całej okolicy do tego łubinu poprzyciągał. Chłopak wiąże sznurkiem skoki, żeby zarzucić ciężar na plecy. Cieszymy się. Łup bogaty, jak na tak ubogie strony, gdzie prędzej dzika i wilka można spotkać, niż tego rzadkiego „zwierza"! Zbieramy się do odwrotu. Słońce już zapadło się w ziemię. Łuna tylko świeci zachodnie. Zmęczone nogi szybko niosą nas do ciepłego legowiska przy kominku, gdzie wonny dymek papierosa otuli nasze myśli i wspomnienia niedawnej przygody. Kto wie? Wyrośnie może z tego dnia, jakaś gędźba przeogromna! Któż zna i zgłębił myśli i... język myśliwego! Wróbel czasem w głuszca może się zamienić, a kot — to chyba już w słonia!

Opowiadać twarz w twarz czasem niebezpiecznie! Od czego dobry i cierpliwy „Łowiec"? Można napisać spokojnie, a tylko siaki taki stęknie i mruknie, jak ongiś pan Podbipięta:

At, słuchać hadko!

ZDZISŁAW JANOTA BZOWSKI

*) Zimową porą lubią się czasem zające zbierać w niezaoranych łubinach, wysoko ściętych ścierniskach, „kotyrach" i t. p. (Przyp. red.)

Z POLSK. ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

Zarząd Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich odbył swe posiedzenie w dniu 4 grudnia r. z., Wydział Wykonawczy zaś — w dniu 12 stycznia r. b.

W związku z zakończeniem prac specjalnie powołanej komisji nowelizacyjnej prawa łowieckiego i rozpatrzeniem przez Zarząd projektu noweli, upoważniono Wydział Wykonawczy do złożenia projektu tego p. ministrowi rolnictwa.

Uznając potrzebę ubezpieczenia służby łowieckiej na życie i od nieszczęśliwych wypadków, Zarząd Związku zaznajomił się z ofertą Tow. Ub. „Assicurazioni Generali Trieste".

Zarząd Związku, na wniosek Wydziału Wykonawczego, zaliczył w poczet stowarzyszeń związkowych:

1. Pińskie Kółko Myśliwskie w Pińsku,
2. Siedleckie Towarzystwo Łowieckie w Siedlcach,
3. Sportowe Towarzystwo Łowieckie w Wilnie,
4. Kółko Łowieckie w Aleksandrowie Kujawskim,
5. Sekcję Łowiecką Koła Leśników, Studentów Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego,
6. Koło Racjonalnego Myślistwa przy Związku Majstrów Fabrycznych w Łodzi,
7. Łagiewnickie Kółko Łowieckie w Łagiewnikach z siedzibą w Łodzi.

Zarząd Związku uchwalił nadać najwyższe odznaczenie łowieckie, „Złom":

— Viceprezesowi Związku, gen. dyw. Kazimierzowi Fabrycemu — za wybitne zasługi na polu ideowego łowiectwa,

— Karolowi ks. Radziwiłłowi — za działalność ideową na polu łowiectwa, a w szczególności za ochronę łosi,

— Józefowi Weyssenhoffowi — za wybitne zasługi na polu literatury łowieckiej,

— Władysławowi Janta - Połczyńskiemu — za zasługi w dziedzinie literatury łowieckiej i za pracę organizacyjną na polu ideowego łowiectwa,

— Przewodniczącemu Wydziału Wykonawczego — Wacławowi Szperlingowi — za wieloletnią działalność ideową na polu łowiectwa,

— Redaktorowi „Łowca Polskiego", członkowi Zarządu Związku, mec. Walentemu Garczyńskiemu — za zasługi na polu piśmiennictwa łowieckiego,

— Kpt. Józefowi Władysławowi Kobylańskiemu — za wybitne zasługi w dziedzinie bibljografji łowieckiej.

Zarząd Związku uchwalił nadać „złoty medal" za zasługi na polu łowiectwa:

— Księdzu Ludwikowi Niedbałowi — za działalność na polu literatury łowieckiej,

— mec. Aleksandrowi Tallen - Wilczewskiemu, członkowi Zarządu Związku za działalność ideową w łowiectwie, a w szczególności za pracę na stanowisku Przewodniczącego Komisji nowelizacyjnej prawa łowieckiego,

— inż. Stanisławowi Kamockiemu, członkowi Zarządu Związku, dyrektorowi Instytutu Łowiectwa — za działalność ideową na polu łowiectwa i piśmiennictwa łowieckiego,

— Kazimierzowi Świderskiemu, członkowi Zarządu Związku — za wybitną działalność ideową na stanowisku delegata Związku w powiecie Będzin,

— Zygmuntowi hr. Kurnatowskiemu,

— gen. Antoniemu Unrugowi,

— Ignacemu hr. Mielżyńskiemu,

— Władysławowi Alkiewiczowi,

— Henrykowi Górskiemu,

za zasługi na polu ideowego łowiectwa.

„Srebrny medal" za zasługi na polu łowiectwa uchwalono nadać:

— leśniczemu Pawłowi Zawadzie,

— leśniczemu Janowi Kudakowi,

— leśniczemu Józefowi Kolochowi

za pracę hodowlaną i walkę z kłusownictwem.

Omawiano sprawę braku wykładów z dziedziny łowiectwa w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Poważni myśliwi francuscy zwrócili się do ambasady R. P. w Paryżu z prośbą o informacje co do możliwości polowań w Polsce na dzikie ptactwo błotne. Ministerstwo rolnictwa w porozumieniu ze Związkiem zbiera obecnie materjał w tej sprawie.

Mające odbyć się w Berlinie posiedzenie Międzynarodowej Rady Łowieckiej (Conseil International de la Chasse), specjalnie poświęcone sprawie międzynarodowej ochrony łosia, — zostało odłożone. Na posiedzeniu tem Polska będzie reprezentowana przez swych przedstawicieli, członków C. I. de la Chasse z ramienia łowiectwa polskiego.

Zatwierdzono i postanowiono ogłosić w zwykłym trybie kandydatury na delegatów Związku w powiatach: Dzisna woj. Wileńskiego, Kamień Koszyrski — woj. Poleskiego, Kartuzy — woj. Pomorskiego, Jasło — woj. Krakowskiego.

Najbliższe posiedzenie Zarządu Związku odbędzie się w pierwszych dniach marca.



ROZMAITOŚCI.

KUROPATWA A BURAK CUKROWY.

Jako rolnik, zamieszkały w okolicy czysto buraczanej — interesowałem się żywo kulturą, rozwojem i ochroną buraka. Moja dwudziestopięcioletnia obserwacja doprowadziła mnie do wniosku, że jedynym obrońcą buraka przed jego zwierzęcemi szkodnikami, jest kuropatwa.

W naszym rewirze w r. 1900 była kuropatwa zwierzyną prawie nieznaną. Z biegiem lat, przy troskliwej ochronie i dopełnianiu obsady sprowadzanemi parkami liczyliśmy w r. 1912 około 2000 parek na przestrzeni 940 ha. Dotychczas kultura buraka bywała rok rocznie katastrofalnie niszczona przez szkodniki pasorzytne zwierzęce do tego stopnia, że trudno było znaleźć jeden ha nieuszkodzony. Klęska ta zmniejszała się stale w miarę wzrostu liczebnego stanu kuropatw, aż w r. 1912 zniknęła zupełnie.

Olbrzymie gradobicia w latach 1921 i 1922 wybiły niemal do nogi kuropatwy w okolicach Mielnika.

Wślad za tem pojawiły się w r. 1923 druciaki, a w r. 1924 opanowały plantacje buraczane w całym okręgu.

Że kuropatwa jest tępicielką druciaka — przekonałem się w sposób następujący: Zapomocą grubych plastrów ziemniaka i buraka — wciśniętych w ziemię — zgromadziłem całe hordy druciaków na małej przestrzeni pola buraczanego — poczem obserwowałem, jak całe stadka kuropatw zbiegały się na ucztę i pracowały poty, póki w pułapkach nie było dosłownie ani jednego szkodnika. Kto chce stwierdzić, czem się kuropatwa na wiosnę żywi, niechaj poświęci jedną, i powie mi, czy w wolu jej znajdzie coś więcej, poza samemi jajkami owadów i pędraczkami drobnych pasorzytów?

Z czeskiego przełożył WŁ. KARNKOWSKI

SIEMKOWICE — ZIEMIA WIELUŃSKA WOJ. ŁÓDZKIE.

Walka z kłusownictwem nie tylko nie ustaje ale wzmaga się. Ale i kłusownictwo nie maleje. Smutnym obrazem tego są Siemkowice. Polowania w święta i niedziele, tak przez kłusowników, jak i pseudo — myśliwych coraz więcej mają zwolenników.

— Szybkiem tempem zwierzostan jeleni zmierza do wyniszczenia, straż leśna — wciąż te piękne zwierzęta znajduje nieżywe, a sekcja wykazuje całe kolekcje rozmaitego gatunku loftek, kul i śrutu. — Policja przeciążona jest swemi czynnościami, a funkcjonarjusze jej, ludzie nawet z pewną obowiązkowością — są narażeni na staczanie kompletnej walki, z narażeniem życia, czego dowodem, że kłusownik, uchodzący przed policją — momentalnie mobilizuje cały dom i do walki staje kto żywy, mężczyźni, kobiety, a nawet psy. — Przed paru tygodniami odbywała się taka batalja na Marchewkach, kolonji, przyległej do lasu siemkowskiego. Tam policjanta Kolanka poturbowano w mieszkaniu, uprzednio zamknąwszy drzwi, poczem rzucono go psu do budy, aby ten go szarpał, reszta policji — zmuszona była zdobywać dom bagnetami. — Przy rewizji prócz broni znaleziono moc przeróżnego gatunku amunicji, całe zwoje wnyków, moc skórek zajęczych i króliczych; leśniczy ocalał tylko dzięki swej przytomności umysłu, gdyż były usiłowania roz-

trzaskania mu głowy drągiem. — Smutne to, ale prawdziwe. — Dzisiaj przywieziona została piękna łania cielna, w niej młode, wielkości królika.

Od kilku dni, zauważyłem w remizach, przylegających do ogrodu, światła latarek elektrycznych, to pojawiające się, to niknące w oparach mgły, a ciche flowerowe strzały, dawały dużo do myślenia. — Wysłałem leśniczego, aby sprawdził; wówczas natknął się na kłusowników, w ten sposób polujących na bażanty, chowane tuż przy domu. — Kłusownicy przyjęli leśniczego strzałami flowerowemi. — Pościg nie dał rezultatów — z racji gęstej mgły. Starania o wydzierżawienie polowania na gruntach włościańskich — rezultatu nie odnosi, gdyż uniemożliwia się w ten sposób straży leśnej kontrolę pól włościańskich. Z wysiłkiem dochowywałem się zwierzyny, mieszkając wśród rozburzonych majątków i wyniszczonych lasów.

— Może ktoś, rozporządzający pewną władzą i interesujący się sprawą łowiecką, zechce tę bolączkę usunąć, bo w obecnych warunkach tak policjant. jak dozór leśny jest niepewny życia własnego.

JAN IGNACY KARŚNICKI.

Z KOŹMINA.

Leśniczy Michał Leśniak z Mokronosa pochwycił na kłusownictwie Jana Twardowskiego z Józefowa pow. koźmińskiego. Dzielny leśniczy odebrał kłusownikowi fuzję i naboje, a jego samego oddał w ręce sprawiedliwości.

— j. b. —

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniu 15 grudnia r. b. odbyło się polowanie w Karnkowie, pow. lipnowski, u pp. Karnkowskich. W polowaniu udział wzięli pp. Stanisław i Filip Grodziccy, Karol br. Ike-Duninowski, Włodzimierz i Zdzisław Kiwerscy, Jerzy Krzymuski, hr. Mieczysław Kwilecki, Henryk br. Maltzan, Stanisław Nałęcz, Stanisław Piwnicki, Aleksander Płoski, Stanisław Wilski. Przy fatalnej pogodzie, gdyż prawie cały dzień padał ulewny deszcze z wichurą, co uniemożliwiało sprawne prowadzenie polowania i opolowanie całego terenu, zabito ogółem 305 zajęcy i 32 koguty bażanty. Królem polowania był p. Jerzy Krzymuski, który miał na rozkładzie 48 sztuk. Trzeba przyznać, że dzięki zabiegom i staraniom p. Jana Karnkowskiego, stan zwierzyny ogromnie z każdym rokiem poprawia się w Karnkowie i przy dobrej pogodzie możnaby lekko zabić 500 sztuk.

— Dn. 12 grudnia r. ub. polowano, przy pięknej pogodzie, w lasach maj. Skrzydlów, pow. sandomierskiego, u pp. Aleksandrostwa Danilczuków.

W polowaniu wzięli udział pp.: wiceminister skarbu Starzyński, dyr. Barysz, bar. Leop. Kronenberg, Al. Steinhagen, mec. T. Tomaszewski, Grabowski z Garnka i mjr. Wl. Rozwadowski z Warszawy.

Ogółem padło 132 zające, królował zaś p. Al. Steinhagen.

— Wl. R. —

— W dniach 3 — 6 stycznia odbyło się polowanie w rewirze rządowym, Jagodne—Dąbrówki pow. siedleckiego, dzierżawionym przez Wojskowe Towarzystwo Łowieckie w Warszawie. W 12 strzelb, przy dobrej pogodzie, ubito: 1 odyńca, 13 lisów, 1 cietrzewia, 1 jastrzębia i 85 zajęcy. Królem polowania był mjr. dr. Komorski, mając na rozkładzie 5 lisów i 10 zajęcy.

— Wl. R. —

Dnia 15 grudnia r. z. odbyło się polowanie w majątku Dzierżanowo pow. płockiego (własność p. Stefana Mieszkowskiego). Pomimo fatalnej pogody, co niewątpliwie zmniejszyło rezultat, padło 294 zające, 1 lis i 1 jastrząb. Królowali pp.: Z. Korolkiewicz z Pyszkowa i A. Czaplicki z Osieka, obydwaj mając na rozkładzie po 27 sztuk.

— ac —

KOMITET REDAKCYJNY: J. Błeszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, W. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, red. St. Krzywoszewski, prof. dr. E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. br. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrug, Wl. Zabiełło i dr. St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5-ą pop. w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). **„Skowronek"** — 3.60 zł. **„Kruk"** — 4.50 zł. **„Słonka"** — 4 zł.

J. W. Kobylański. **„O zwierzyńcu w Katowicach"** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie"** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwie-rzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) — dolicza się 90 groszy.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.